

Melancholijne tango

Tekst i zdjęcia Rafał Zubkowicz

Oby tylko nie było wojny – mawiają pamiętający walkę z hitleryzmem mieszkańcy Polesia. Sami nie wiedzą jednak, jak to się stało, że ich wieś, której nawet w tamtych latach nikt nie zdołał zniszczyć, teraz sama odchodzi w niebyt. Ćwierć wieku temu zabrzmiał ostatni dzwonek w szkole, a przed rokiem zatrzasnęły się na głucho drzwi sklepu.

„Pośród łąk, lasów i wód toni, w ciągłej, pustej życia pogoni, żyje posępny lud” – zawodziły przedwojenne patefony. Melancholijnie tango *Polesia czar*, tak jak siedemdziesiąt lat temu, i dziś rozbudza wyobraźnię. Czy coś zmieniło się na samym Polesiu? Sentymentalna pieśń durzy skargą, co z głębi wód się miota i każe sercu wierzyć w Polesia cud. Nadstawmy ucha – dźwięk, który dobiega z krainy moczarów i dzikich kniej, zdaje się przypominać skrzyp jadącego wozu...

Ukraińskie wioski nad Stochodem i Prypecią otula zima. Mech szczelnie przykrywa kopce kartofli, a wysuszone pestki dyni czekają na te najbardziej mroczne zimowe wieczory. W chlewach pokwikuja świnie, nieświadome swego losu. Zaoranych pól nie ma wiele – we wsiach, które obdzielono gruntami po upadłych kołchozach, rzadko kto obrabia więcej niż pięć hektarów. Bo cóż więcej można zwojować koniem?

Kosa i dwa kije

Czasem i tego brać nie ma po co, bo ziemia licha. Sześciuosobowa rodzina Nadiji i Wołodymyra Saczuków z Prylisnego gospodaruje na niecałym hektarze. U nich we wsi słabej kołchozowej ziemi nie rozdzielono, bo jak uważa Saczuk, nikt by jej nie chciał.

– Nam i tego wystarczy – opowiadał przy sianokosach.

Dziwne były to sianokosy, w listopadzie, jakby o pół roku spóźnione. Ze sztynnych turzyc dawno znikły resztki zielonego chlorofilu. Kary koń, który czeka, aż załadują mu całą furmankę, ani się na nie obejrzy. Być może wie już, że będzie miał toto za podściółkę zamiast słomy, której z osiemdziesięciu arów jest tyle co kot napłakał, a i to do podziału z krową.

Za to bagiennym turzycowiskiem z nikim dzielić się nie trzeba. Wszystko należy do *leshospu* (nadleśnictwa), który lichych sianożęci nie wzbrania. Chcesz – koś, gdzie okiem sięgniesz.

No i koszą, choć z kosą jak z koniem – też wiele nie dokażesz. Przez trzy godziny czterech mężczyzn wyjęło dwa nieregularne placki. Podłoże mokre, aż gumowce zasysa, do furki trzeba więc pokos przynieść. Kary sam w bagnie nie poradzi. Synowie Saczuka taszcą po dwóch brunatne kopce na drążkach.

Sposób prosty i sprawdzony już przez pradziadów.

Starszy z pary, Wiktor, jest przekonany, że w Polsce nikt by się za coś podobnego nie wziął. Na pewno nie ci, którym budował domy w podwarszawskim Piasecznie. W Kijowie o chętnych pewnie byłoby jeszcze trudniej. Tam też się dużo buduje, a ostatnio na murarce można było wyjść jeszcze lepiej niż w Warszawie. Zupełnie inny świat.

Ten inny świat zaczyna się już sto kilometrów dalej, za Bugiem, gdzie z początkiem grudnia na konta rolników spływają dopłaty bezpośrednie. Saczuk aż widły wbija w ziemię, gdy się dowiaduje, że gdyby w Polsce chciał kosić bagien-

ną łąkę, to uczestnicząc w programie rolno-środowiskowym, miałby szansę nawet na 1200 złotych z hektara. Jeden z jego synów, który jakiś czas temu rzucił robotę w nadleśnictwie, zarabiał w miesiąc trzecią część tej kwoty.

Lidia pamięta, jak raz odebrała wypłatę w cukrze – dwanaście worków. W zamian za zaległy czynsz siedem worków wzięła administracja mieszkaniowa, resztę powymieniali na mąkę.

Dywidenda

– O, tutaj, na tej ścianie – Stepan ruchem głowy wskazuje namalowane sprejem linie, które dzielą mur zrujnowanej obory kołchozu w Zodowżu. Pomiędzy krechami widnieją inicjały bądź całe nazwiska udziałowców nieczynnego kołchozu. – Dywidenda taka – z nieoczekiwaną ironią dorzuca małomówny ślusarz.

Potem pokazuje jeszcze, że tę, którą za dwudziestoletni staż pracy wyznaczono mu na stodołę, rozebrał jako jeden z pierwszych.

Nie wszystkim przydają się cegły i eternit. Tak samo jak ziemia, która po wiekach mozolnego wydzierania jej surowej przyrodzie teraz głównie leniuchuje. Stepan nie daje odzipnąć jedynie półtorahektarowej działce, a dziś, mimo niedzieli, sam też nie odpoczywa, bo wypadła jego kolej na pasienie wioskowego bydła. Pięćdziesiąt krów snuje się pomiędzy oborami, w których dawniej mieszkało ich osiemset. Najnowszy budynek, tam gdzie teraz jedna na drugiej leżą wielkie płyty, pobudowano prawie dwadzieścia pięć lat temu.

Podobne porządki panują nad samym brzegiem jeziora Lubiaź, choć tu jedna obora wciąż ma gospodarza. Napis nad wejściem głosi, że długi barak dysponuje

stoma krowomiejscami, ale rodzina Poszków dogląda jedynie pięciu bydła i stada prosiąt. Było ich więcej, ale nie wychodząc na swoje, wyzbyli się kilkudziesięciu sztuk. Kiedy idziemy przez ciemny korytarz, córka, która przyjechała pomóc mamie, mówi:

– Resztę budynków ludzie rozbiorą i może jakiś hotel na tym miejscu powstanie?

Koński renesans

W maju, gdy pod ocalonym pomnikiem Lenina w Lubieszowie miejscowi komuniści składają świeże wieńce, cała okolica czci robotnicze święto sadzeniem kartofli. Po drogach toczą się furmanki: z workami sadzeniaków, gnojem albo całymi rodzinami jadącymi w pole. Tak jak rodzina Natalii Ławreniuk. W rządках, które wytyczają dziadkowie, w tym roku po raz pierwszy układa kartofle ich siedmioletni wnuk Wadim. Debiutant to najmłodszy z trójki synów Natalii, która chwali go potrójnie i podrzucając co jakiś czas bulwę ze swojego wiaderka, próbuje zmniejszyć dystans dzielący go od braci.

Natalia przekrzykuje się z chłopakami i tłumaczy z ochrypłego altu:

– Pośpiewałam za bardzo na Wielkanoc.

Zanim synowie zaczęli przychodzić na świat, zdała nawet do konserwatorium, bo – jak bodaj wszystkie kobiety na Polesiu – śpiewa cudnie.

Jesienią, na wykopki, Ławreniukom przydałaby się konna kopaczka. Można taką kupić na targu w Lubieszowie albo Kamieniu Koszyrskim. Wyciągnięta z pokrzyw zza stodoły pod Hrubieszowem, nasmarowana i odmalowana, na Polesiu ma szansę na drugie życie. Tak jak i inne konne maszyny: kosiarki czy przewracarki do siana, których nikt już dawno nie produkuje.

Chętnie wyposażyłby się w takie Stanisław Sz wajko. Wspólnie z żoną, z którą pobrali się w zeszłym roku, i rodzicami uprawia osiem hektarów ziemi w okolicach Siedliszcz. Choć to niewiele, bo Staś ma jeszcze dziewięcioro rodzeństwa, zaś jego żona siedmioro (oboje pochodzą z rodzin zielonoświątkowców), uważa że to wystarczy, pod warunkiem, że nikt mu się nie będzie wtrącał w robotę – żaden kołchoz, rząd czy kto tam jeszcze.

Premier na każdy dzień roku

Julia i Wiktor pamiętają o poleskich wyborcach. Co roku ślą po wsiach kalendarze, które wszystkim przypominają, że władza narodu nie opuszcza, czy piątek, czy świątek.

Taki kalendarz wisi też w domu Wasyliny Bondar. Wiszą w zasadzie trzy. Jeden z podobizną Julii Tymoszenko, drugi z Matką Boską. Ale to Julia obiecuje, że zmieni Ukrainę na piękniejszą, może tak piękną jak ona sama – stojąca w łanie złotej pszenicy, z pszennozłotym warkoczem i w czerwonych koralach. Trzeci kalendarz jest taki ze zdzieranymi kartkami, ale o tym 93-letniej Wasylinie często zdarza się zapomnieć. Przypomnieć jej nie ma kto, bo ani telewizora, ani radia w domu bez prądu też nie ma. Aż cud, że do jej chaty, kilometr za na w pół wyludnionym Pożogiem, dotarł listonosz z przesyłką od pani premier.

Pan prezydent i pani premier od dawna już nie pozują do wspólnych fotografii, toteż kalendarz na ścianie wiele mówi o sympatiach domowników. Te na Polesiu wyraźnie faworyzują Julię i raczej nie tylko dlatego, że jej blond warkocz ma więcej uroku niż upstrzona bliznami twarz prezydenta.

– Kto jak nie Julia nam emerytury podniósł? – krótko dowodzi Georgij Kaczuła z Górek. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy dochody jego i żony niemal się podwoiły: na dwoje dostają co miesiąc 1300 hrywien. Ostatnio wyjątkowo łatwo przeliczyć tę kwotę na złotówki, wystarczy podzielić na pół – wychodzi po 325 złotych na osobę. Mało?

Tak dobrze nigdy nie było!

To najprawdziwsze słowa Kaczuły. Ma 76 lat, krowę, konia, parę świń i tylko zdrowie mu szwankuje. Jego rodzice byli właścicielami kilkunastohektarowego chutoru.

Wiodło im się, dopóki nie wybuchła wojna. Sowieci zaczęli czepiać się ojca, że ma tych hektarów za dużo. Niemców obchodziły one o tyle, że z każdego trzeba było oddawać kontyngent, za co na odchodne spalili w podzięce całe gospodarstwo. Ledwie się ojciec odbudował – cały majątek oddał kołchozowi. Było tam niby wszystko, a tak naprawdę człowiek nie miał nic. Z bólem dali małą działkę pod kartofle i warzywa.

W 1944 roku Mykoła wyciągnął z ziemi prawie trzy tysiące min. Przysłali mu za to medal, a koledze, który miał mniej szczęścia – wózek inwalidzki.

Tego samego zdania co Georgij jest Maria Czeryk ze Swałowicz. Jej córka, nauczycielka w pobliskim Lubieszowie, tłumaczy dlaczego:

– Tu nie tylko o wojnę i kołchoz idzie, ale też o pierwsze lata niepodległej Ukrainy.

Było tak: w 1996 roku Lidia z mężem i synem pojechali na truskawki do Polski. Nastoletni Wadim przyznał się tam gospodarzowi, że mama, ucząc angielskiego i niemieckiego, dostaje sto dolarów. Tamten złapał się za głowę. A kiedy jeszcze usłyszał, że dziadkom Wadima ma wystarczyć po dziesięć dolarów emerytury, obrócił się na pięcie i pobiegł do domu, żeby głodnemu dziecku przynieść coś porządnego do jedzenia.

Czy Wadim napomknął też, że tych pieniędzy nikt miesiącami nie oglądał, Lidia już sobie nie przypomina. Ale dobrze pamięta, jak raz odebrała wypłatę w cukrze – zadowolona przywiozła rowerem dwanaście worków. Tylko mąż się nie ucieszył, bo zastawiła cały pokój. Nie spodziewał się, że miejsce tak szybko się zwolni: w zamian za zaległy czynsz siedem worków wzięła administracja mieszkaniowa, resztę żona powymieniała na mąkę, kartofle. Chętnych, co też nie widzieli gotówki na oczy, nie brakowało.

– A wiesz, dlaczego w Swałowiczach ludzie się przestraszyli, kiedy im ostatnio podskoczyły emerytury? – pyta Lidia. – Bo się bali, że jak im teraz rozdadzą, to potem w ogóle nie będą mieli czym płacić.

Komórki w Komorach

Choć dziś nikt nie ma wątpliwości, że Ziemia jest okrągła, odwiedzającym Komory zdać się może, że dotarli na kraj świata. Ze wszystkich stron wieś otaczają polać bagiennych łąk i turzycowisk. Dawniej, dopóki nie przecięła ich droga-grobla, przez większą część roku najłatwiej było się tu dostać łódką po rozlewiskach Prypeci. Dzisiaj smukłe czołna można odnaleźć jedynie na fotografiach Jana Bułhaka. Jego zdjęcia z pińskich jarmarków utrwaliły nie tylko czar Polesia, ale zapewne też niejednego z dawnych mieszkańców Komor, którzy wozili na sprzedaż suszone ryby albo siano żęte po kolana w wodzie.

Choć z końcem lat osiemdziesiątych grobla wpuściła do Komor powiew wielkiego świata, upadek Związku Radzieckiego znów przesunął wieś na peryferie. Za Prypecią zaczyna się Białoruś i dziś nie tylko do Pińska, ale nawet na drugi brzeg nie można popłynąć.

Chociaż czy ktokolwiek chciałby pływać do Pińska? Nawet gdyby była taka potrzeba, to najmłodszy z siedemdziesięciu mieszkańców wsi – Tatiana (67 lat) i Petro (71 lat) Waśkowycze – już nie sprotaliby drodze. Co prawda życiowe zakręty powyrzucały do Komor jeszcze kilku młodszych, ale ich za tutejszych i gospodarzy niechętnie się liczy. Zamiast zająć się robotą, wolą pasożytować na rencinach schorowanych matek.

Za Prypecć już dawno powynosiły się dzieci Jewhenii Demczuk. Ostatnimi laty, chcąc pomóc matce przy sianie, zięć i wnuki przeprawiali się przez rzekę nielegalnie. Tyle że ostatnia eskapada skończyła się aresztem i grzywną, i tak najbliższej wiosny Jewhenia na pomoc liczyć nie może. Dzieci zadzwonią tylko czasem na komórkę, bo komórki w Komorach pojawiły się jako odpowiedź na upadek słupów linii telefonicznej.

Tatiana i Jewhenia to trzon folklorystycznego zespołu Mrija (Marzenie).

– Żeeeniaaaa! – zamiast dzwonić, Tatiana krzyczy z ogródka, gromadząc koleżanki na wspólne śpiewanie. Głos ma mocny, zwłaszcza gdy śpiewa popisowy numer:

*Zaprahajcie chłopcy koni, koni woronyje,
Taj pojidem dohaniaty lita mołodyje...*

W pogoń za latami młodości można by się puścić moskwiczem Petra Waśkowycza. Dognać je może być jednak trudno, bo jedyne w Komorach auto za rok będzie obchodzić srebrny jubileusz i mimo starań właściciela, jego srebrne lśnienie matowieje.

Młodość zostaje jedynie powspominać, tak jak to robi Mykoła Demczuk. Niewysoki mężczyzna w wielkiej czapie to prawdziwy bohater – w 1944 roku rozminował Komory. On i jeszcze jeden kolega podpatrzyli, jak to robią saperzy, którzy lecieli za Niemcem i nie mieli czasu zajmować się wsią na bagnach.

– Et, co to tam byli za saperzy – Mykoła macha rękami, którymi wyciągnął z ziemi prawie trzy tysiące min. Przysłali mu za to medal „Wzorowy miner”, a koledze, który miał mniej szczęścia – wózek inwalidzki.

Słuchając rówieśników Demczuka, ma się wrażenie, że front przeszedł przez Polesie najdalej rok temu. Niemłode głosy drżą, wznoszą się o kilka tonów wyżej, a źrenice zbladłe niczym chromy moskwicza zaczynają lśnić, jakby odbijały się w nich wyglansowane niemieckie oficerki. W mroku nocy tak załśniły oczy Onoprija Proniewiczza. Wyczekał, wystął bite dwie godziny przy płocie, by zapytać:

– Jeszcze Polska nie zginęła?

Ciśnienie w normie

Pytanie nie takie znów bez sensu, bo Onoprij nawet bez ruszania się z miejsca kilka razy zmieniał kraj zamieszkania. Po tym przedwojennym została mu w pamięci tabliczka z napisem „Sołtys” na rodzinnej chacie, obok której we wrześniu 1939 roku ciągnęli żołnierze w rogatych czapkach.

Kiedy parę lat później wracał piechotą z robót w Erfurcie, wcale nie był taki pewny, czy przekraczając Bug, opuszcza swój kraj, czy do niego wraca. Bo w czasie wojny na głuchym Polesiu to już zupełnie nie było wiadomo co i jak. Do Komor zaglądali bodaj wszyscy, tak że skołowaciec można było bez trudu, jak to się przydarzyło ojcu Mykoły Demczuka, który pewnego razu zamiast „Dobryj den” zagaił grzecznie: „Zdrastwujtie!”. Zanim zdążył się zreflektować, od partyzantów spod znaku Tryzuba za moskiewski *bon ton* dostał parę razy po gębie.

Onoprij i saper Mykoła, który sześćdziesiąt cztery lata temu ocalił Komory, niejedno widzieli, a każdą biedę kwitują sentencjonalnym: oby tylko wojny nie było. Ani jeden, ani drugi nie wie jednak, jak to się stało, że wieś, której nawet w tamtych latach nikt nie zdołał wykończyć, teraz sama odchodzi w niebyt. Ćwierć wieku temu zabrzmiał ostatni dzwonek w szkole, a przed rokiem zatrzasnęły się na głucho

drzwi sklepu. Został jedynie punkt medyczny, gdzie wiekowa pielęgniarka – ostatni przedstawiciel instytucji państwowej – głównie mierzy ciśnienie. Jeśli na Ukrainie znów będą się odbywać wybory i będzie trwać walka o władzę w Kijowie, izba medyczna zmieni się w lokal do głosowania. Ale zdaje się, że mieszkańcom Komor ciśnienie od tego nie podskoczy. ❄️

Rafał Zubkowicz jest absolwentem Studium Europy Wschodniej UW i Wydziału Leśnego SGGW (obecnie pracuje jako redaktor czasopisma „Las Polski”). Autor kilku przewodników turystycznych i licznych artykułów poświęconych tematyce wschodniego pogranicza Polski.